

Opolski Magazyn Stowarzyszenia Miłośników Gór  
i Sportów Górskich

ISSN 1429-6489

# Jeti

Nr 1 / 13 / 01

Lipiec 2001

W numerze m.in.:

**Buoux – perła Prowansji**  
**Zawody na VI+**  
**Tatrzański obóz klubowy**

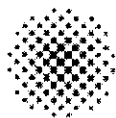


[www.kwopole.pl](http://www.kwopole.pl)

# CALL-TECH

- ▶ kompleksowe instalacje sieci telefonicznych
- ▶ kompleksowe instalacje sieci komputerowych
- ▶ okablowanie i rozruch systemów sklepowych
- ▶ systemy automatyki
- ▶ elektroniczne systemy ochrony mienia
- ▶ konserwacje i przeglądy systemów teletechnicznych
- ▶ komputerowe testy wydajnościowe akumulatorów
- ▶ prace wysokościowe

**Panasonic**



**KRONE**

**MIKROTEL®**

**SIEMENS**

Licencja  
Certyfikowanego  
Instalatora  
**KRONE LINK**

**NOKIA**  
TELECOMMUNICATIONS

Opole, ul. Zielonogórska 4  
tel. 0 607-327-912, 0 603-937-462,  
(77) 464-69-83

[www.call-tech.prv.com.pl](http://www.call-tech.prv.com.pl)



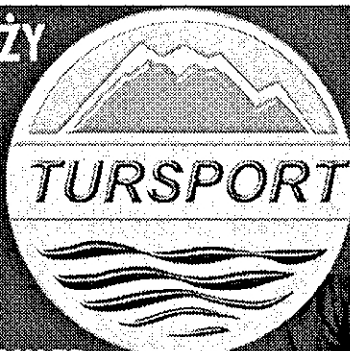
[www.kwopole.pl](http://www.kwopole.pl)

# BIURO PODRÓŻY

Obozy i wczasy narciarskie

- Czechy
- Francja
- Austria
- Włochy

Imprezy turystyczne  
krajowe i zagraniczne



## SKLEP SPORTOWY

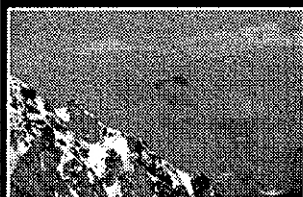
Sprzęt narciarski  
i snowboardowy

- Rossignol
- Fanatic

Sprzęt wspinaczkowy

Opole

ul. Krakowska 53 tel. (077) 454-60-62, 454-60-63



OPOLSKI MAGAZYN  
STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW  
GÓR I SPORTÓW GÓRSKICH

NR 1/13/2001  
Lipiec 2001 r.

Wydawca:

Stowarzyszenie Miłośników Gór  
i Sportów Górskich „Jetti”  
45-037 Opole, ul. Sienkiewicza 28/5

Redakcja:

A. Tabisz (red. naczelny), I. Hebda,  
A. Miskiewicz, R. Olender,

Adres redakcji:

45-707 Opole, ul. Wrocławska 2c/22.  
Miskiewicz Andrzej jr  
tel. (077) 474-78-73

Skład komputerowy i druk:

Pracownia Komputerowa „Virtual” sc.  
45-075 Opole, ul. Krakowska 24  
tel. 454-21-71, 0602-356-262,  
0602-109-712,  
e-mail: virtual@atol.com.pl


Nakład: 300 egz.

ISSN 1429-6489

UWAGA:

Sporty propagowane na łamach  
„Jetti” mogą być niebezpieczne  
i stwarzać zagrożenie dla życia  
oraz zdrowia. Redakcja nie bierze  
odpowiedzialności za ewentualne  
wypadki przy uprawianiu propago-  
wanych w piśmie form aktywności.

### W numerze:

	News	4
	Zawody na VI+	5
	Buoux – wspinaczkowa perła Prowansji	7
	O górach, skałkach i nie tylko	11
	Rodzinne ferraty	16
	The truth is outthere	19
	Lodospady po raz pierwszy	22
	Tatrańska zimowa szkoła	21

### Na okładce:

W alpejskiej scianie Pointe des Nautilons

Fot. archiwum



# Mistrzostwa UKS-ów

12 listopada ubiegłego roku odbyły się w Opolu Mistrzostwa Uczniowskich Klubów Sportowych we wspinaczkę sportową. W zawodach wystartowało 50 zawodników w wieku od 12 do 19 lat. Organizatorem zawodów było oczywiście „Jeti”, przy wydatnej pomocy dyrektora PSP 11 – Jarosława Cieślińskiego. Patronat nad imprezą objął Polski Związek Alpinizmu, a na zawodach zjawiał się jako obserwator sam Wacław Sonelski – „Wacio”, dając wszystkim wiele cennych rad.

Patronat prasowy nad zawodami objęła „Nowa Trybuna Opolska”, a medialny „Radio Opole”, co spowodowało niezłe nagłośnienie imprezy.

W kategorii dziewcząt do lat 12 zwyciężyła Aleksandra Miłek (Jeti), drugie miejsce zajęła Magda Nowakowska, natomiast trzecie ex aequo – Malwina Kwiatek i Katarzyna Zielińska (Jeti).

W kat. Do lat 19 wygrała Katarzyna Nocoń, wyprzedzając Annę Kobzan (obie Jeti).

W kategorii chłopców do lat 12 zwyciężył Jakub Brzozowski, który wyprzedził Jakuba Sienkiewicza i Tomasza Korgula (wszyscy Jeti).

W kat. do lat 14 najlepszy okazał się Bartek Rajtaczak, drugie miejsce zajął Radosław Sobczak (obaj Jeti).

W kat. do lat 16 wygrał Mariusz Krzyżek, który pokonał Marcina Rosę (obaj Jeti).

W kat. do lat 19 na pierwszej pozycji uplasował się Mariusz Motyka, natomiast na kolejnych – Mariusz Gajewski i Paweł Boniewski.

Po zawodach odbyło się spotkanie z W. Sonelskim poświęcone dyskusji na temat funkcjonowania UKS-ów oraz pokazowi slajdów i prelekcji pt.: **MOJE GÓRY** – oczywiście w wykonaniu „Wacia”.

## Zapraszamy na sztuczną ścianę

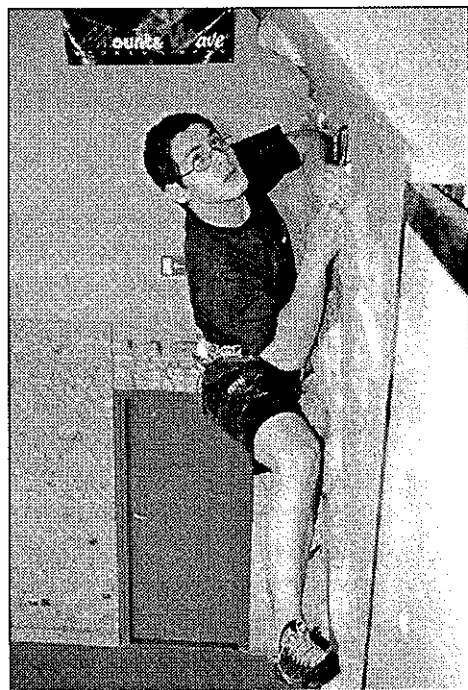
Opolska sztuczna ściana powoli przeobraża się w przyzwoity obiekt treningowy. Członkowie „Jeti” zakończyli już trzeci etap rozbudowy swojej „kuźni mocy”. Tym razem, za sprawą firmy ART ROCHER, powstał solidny dach o szerokości czterech i wysokości ok. pięciu metrów.

W tej chwili opolska ściana ma już ok. 170 m kw. powierzchni, osiem ospitowanych dróg i kilkanaście stanowisk wędkowych. Chwyty nakręcane i wpuszczane, panel gładki i z fakturą.

Każdy znajdzie tutaj coś dla siebie: początkujący pion, zaawansowani przewieszania i dach.

Ściana czynna jest trzy razy w tygodniu: wtorki, czwartki i piątki od 19.00 do 21.30 (na wakacjach, niestety, nieczynne).

Ściana znajduje się w sali gimnastycznej Publicznej Szkoły Podstawowej nr 11 w Opolu przy



Marcin Rosa na drodze finałowej. Fot. archiwum

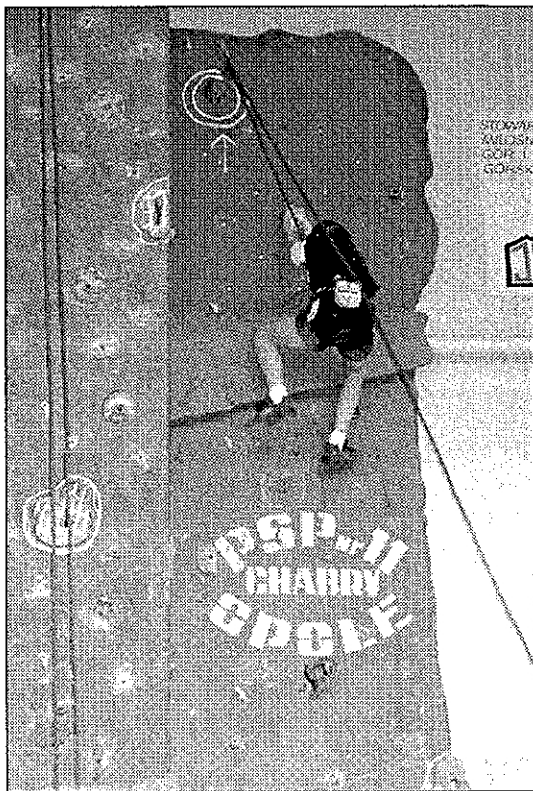
ul. Chabrów 65. Z dworca PKP i PKS najlepiej dojechać autobusem linii nr 3.

Wstęp 5 zł, dla członków klubu 3 zł, karnety odpowiednio 40 i 24 zł.

W najbliższym czasie planowana jest budowa boulderowni.

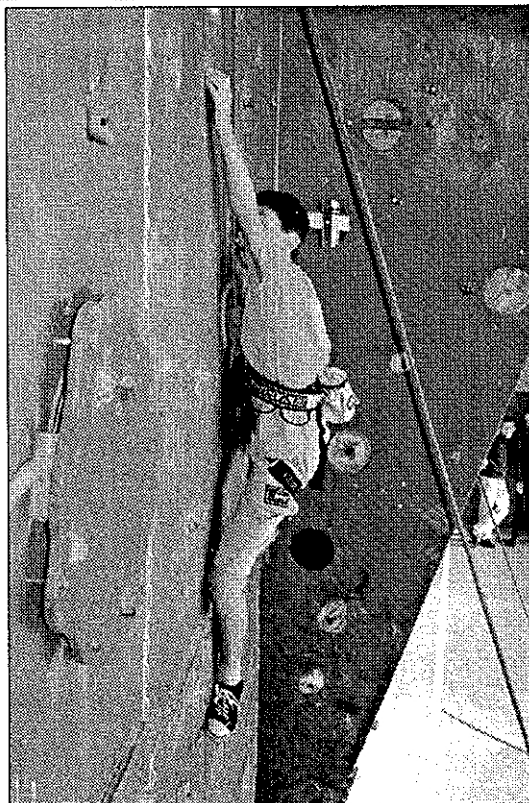
# Zawody na VI+

Przyjechawszy świeżo do Opola nie bardzo wiedziałem, czy zabawa pt. III Otwarte Mi-strzostwa we Wspinaczkę Sportową to impreza na pewno dla mnie. Dwie godziny snu w poprzedzającą wydarzenie noc to raczej słaby wynik przed sportowym sprawdzianem. Dałem się jednak przekonać. Na start stawilo się kilkudziesięciu zawodników. W większości były to dzieci trenujące w sekcjach prowadzonych przez Arka T. i Rafała O. Liczebność starszych grup wiekowych była troszkę mniejsza. Dziewczyny były dwie a panów 7. Przyczyn tego stanu było i jest kilka. Ladies first: Ta sytuacja wymagałaby jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, ale go brak. Aktywnie wspina się w tym mieście tylko kilka dziewczyn, a mogłoby być ich znacznie więcej. Trzeba wszem i wobec ogłosić, że wśród przychodzących na ścianę we wtorki, czwartki i piątki menów jest kilku takich, dla których dziewczyny powinny tracić (i czasami tracą) głowę. Tak więc nie „Miami”, nie „Z scena”, lecz na ścianie od dzisiaj szuka się super samców. A dwa, że nie ma to jak wspólny „trening”. W przypadku płci potocznie zwanej brzydką przyczyn jest kilka. Wiadomo, że nowa ściana stawia zawodnikom wyższe wymagania i nie wszyscy byliby w stanie na niej zawalczyć. Dwa, że występ zapowiedziało kilku „tęgich” moczary i być może pojawiła się (a zupełnie niepotrzebnie) obawa przed ośmieszeniem się, tudzież daniem „ciała”. Last but not the least to osoba wybrana do układania dróg. Marcin R. znany ze swojego upodobania do bulderingu zapowiadał od dłuższego czasu, że „nikt nie dygnie”. W strefie panowała po obejrzeniu dróg niezła nerwówka i Marcin był kilkakrotnie napadany: „no weź coś dokręć”. Dzieci i młodzież wspinają się w kilku grupach wiekowych i o ostatecznych miejscach na podium często



decydowały dopiero superfinały. W kategorii dziewczyn trochę starszych wygrała (niespodziewanie?) Ania S. Ania wspina się dopiero 4 miesiące, ale czyni niesamowite postępy. Oprócz miłego uśmiechu, dysponuje także nie-

banalnym parametrem i odpowiednim stosunkiem „torby do korby”. Wicemistrzyni Kasa N. chyba troszeczkę przedobrzyła i mimo pozytywnych wibracji z podkładu muzycznego zabrakło jej sił na top. Kategorię panów oglądałem od środka także na ten temat troszkę więcej. Eliminacyjny trawers to „najczystszy Marcin”. Początek w miarę lightowy a później same wysięgi. Przedostatni ruch wymagał maksymalnego sprzęża i tylko trzem zawodnikom udało się skończyć drogę. Droga finałowa mimo początkowych obaw okazała się bardzo ładna, a co najważniejsze dokonała przejrzystej selekcji zawodników. Start to bańka do obłaka; następnie przekładanka po rzeźbie i wejście w przewieszenie; w dachu kilka niezłych wioślarskich (ta dyscyplinę uprawiał kiedyś Marcin!!!) machnięć po dwupalcowych przelotkach i na koniec wysięgowy trawers po krawędzi okapu. Jako jedyny zatopował Paweł W. W połowie trawersu spada Piotrek M. a dwa chwyt wcześniej Mariusz K. To właśnie młody gniewny był cichym faworytem, ale niestety skończył jako młody wk.....y. Na koniec „We are the champions” i wręczenie nagród od sponsorów, którymi były firmy Camper i restauracja CONIECO.



## Oto klasyfikacja zawodów:

### - dziewczęta do lat 12:

1. Aleksandra Miłek,
2. Aleksandra Chorkun,
3. Katarzyna Zielińska;

### - kobiety open:

1. Anna Sokulska,
2. Katarzyna Nocoń;

### - chłopcy do lat 12:

1. Jakub Sienkiewicz,
2. Tomasz Korgul, Marcin Ratajczak,
3. Michał Koryczan, Jakub Brzozowski;

### - chłopcy do lat 16:

1. Marek Nocoń,
2. Radosław Sobczak,
3. Bartek Ratajczak;

### - chłopcy do lat 19:

1. Mariusz Krzyżek,
2. Paweł Boniewski,
3. Łukasz Kwiatek;

### - mężczyźni open:

1. Paweł Wyrwał,
2. Piotr Możdżeń,
3. Mariusz Krzyżek

Piotrek Możdżeń

P.s. Tytuł artykułu wziął się z opinii, o trudnościach drogi finałowej, wyrażonej przez P.W. – „To było VI+” – nie w kij dmuchał!!!

# Buoux - wspinaczkowa perła Prowansji

W kwietniu tego roku Grzesiek Pielak, Krzysiek Martuś, Łukasz Pokorski (Głuszycza) oraz autor tekstu, przez 10 dni wspinali się w skałkach południowej Francji. Naszym głównym celem był Buoux. Przy okazji krótkiego opisu tegorocznego wyjazdu, w tekście zawarłem również wrażenia z wcześniejszych wizyt w tym rejonie.



Kilka lat temu, w jednym z wiodących górskich periodyków, wydawanych w naszym kraju, przeczytałem artykuł opisujący cudowną jakość wspinania w Ceuse - "wysokogórskim", skalnym rejonie opodal Gapu (pd. Francja). Autor artykułu wprost rozpywał się nad urokami wspinaczki po wywieszonych drogach tego skalnego raj. W podsumowaniu, dla potwierdzenia zawartych w tekście wrażeń, przytoczona została wypowiedź pew-

nego wspinacza. Ów, niewątpliwie dużej klasy zawodnik, zaliczywszy uprzednio kilka "siódemek ce" (!!) lub "siódemek ce plus" (!!!) w "oesie" (!!!!) w tym jakże wspaniałym miejscu, rzucił krótko "Buoux, to syf!" (w porównaniu do Ceuse, rzecz jasna).

Po przeczytaniu tej wyszukanej sentencji, trochę się zdziwiłem. A więc obiekt pożądania setek (tysięcy?! ) lojarzy, rejon o chyba największej na świecie koncentracji "topowych" dróg lat 80-tych, gdzie poprowadzono (i obito!) kilkaset pasaży o trudnościach od 4 do 8c, to syf... W Ceuse, jak dotąd nie byłem. Od znajomych słyszałem, że i owszem, jest super. Natomiast co do Buoux....



Pogoda w pierwszej połowie lipca 1993 roku była wyjątkowo paskudna. Przejadając (i przepijając) kolejne setki "franoli", siedzieliśmy wraz z Mariuszem M. w mokrym namiocie na jednym z campingów w Chamonix. Ambitne plany podbojów alpejskich ścian tymczasowo zawisły w próżni. Po szybkim przejściu jednej drogi i wycofaniu się na drugą, mokieliśmy u stóp najwyższego szczytu Europy, zastanawiając się co dalej? Ponieważ przymusowa laba nie wpływała korzystnie na formę wspinaczkową, postanowiliśmy ruszyć w jakieś ciepłe skałki, aby nieco rozruszać zastale kości oraz nacieszyć się słońcem i bezchmurnym niebem.

Nasz wybór padł na Buoux. Nie ociągając się, rażno spakowaliśmy nasz dobytek i po kilku godzinach jazdy pociągiem, noclegu na podłodze dworca w Awinionie oraz podróży autobusem i autostopem, dotarliśmy do miasteczka Apt. Stąd już tylko 10 km asfaltowej szosy dzieliło nas od celu podróży. Po noclegu na campingu Les Cedres, podążyliśmy piechotką w stronę Buoux. Zaliczywszy wspomnianych 10 km drogi, minąwszy pola lawendy oraz kilka domów, zaczęliśmy schodzić w dół wąwozu ograniczonego z obu stron skałami. Niecierpliwie konfrontując otoczenie ze świeżo zakupionym przewodnikiem, wydawaliśmy okrzyki zachwytu nad ilością otaczających nas skał.

Najlepsze jednak ciągle było przed nami... Jeszcze kilkaset metrów i nagle z lewej strony zoba-

„Uwaga Wielbiad!” po drodze do Buoux.

Fot. autor

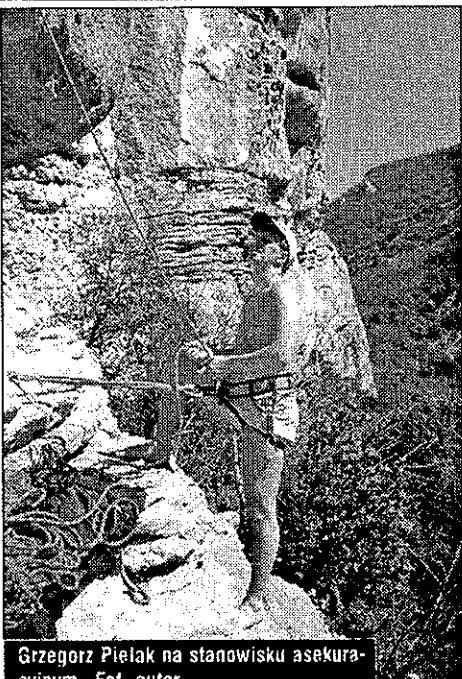


czyliśmy drugi wążów. Jego lewą krawędź stanowił chyba 2 km długości mur, zbudowany z szarozółtej skały. To właśnie był nasz raj! Spędziliśmy w nim 10 dni wspinając się w pięknych pionowych lub lekko przewieszonych płytach, dość chaotycznie wybierając opisane w przewodniku sektory.

Wyświechtanym już frazesem jest stwierdzenie o mocnym postanowieniu powrotu, ale to właśnie sobie obiecałem, gdy musieliśmy wracać do Chamonix...

I rzeczywiście wróciłem, rok później, ponownie w lipcu. Wczesnym rankiem załadowany po dach Fiat 126p, wiozący moją skromną osobę oraz Tomasza P., wypróbowanego wówczas towarzysza wielu skalnych podbojów, wtoczył się na teren campingu Les Cedres. Tym razem poznawaliśmy Buoux bardziej metodycznie. Trzy tygodnie pobytu, około 60 poprowadzonych dróg pozwoliło w pełni docenić walory wspinania w podziurkowanych płytach i obłych rysach większości z trzydziestu kilku "buouxowych" sektorów. Wyjeżdżaliśmy z Buoux syci wrażeń. Tym razem specjalnie nie myślałem o powrocie, to, że jeszcze tu przyjadę, było wręcz oczywiste.

Lato roku 1997 był dla Opoli wyjątkowe. Spustoszone przez powódź Zaodrze, zalany magazyn firmy, w której wówczas pracowałem nie nastrojały zbyt optymistycznie, a zaplanowany na sierpień wspinaczkowy wypad na południe Francji stanął pod znakiem zapytania. Na szczęście Krzysztof S., opolski skalny He-Man, pomimo, że wspomniany magazyn był częścią jego firmy, wykazał hart ducha i wyjazd doszedł do skutku. Wraz z rodziną He-Mana oraz Pawłem W. wyruszyliśmy na południe. Wyjazd ten z założenia obejmował



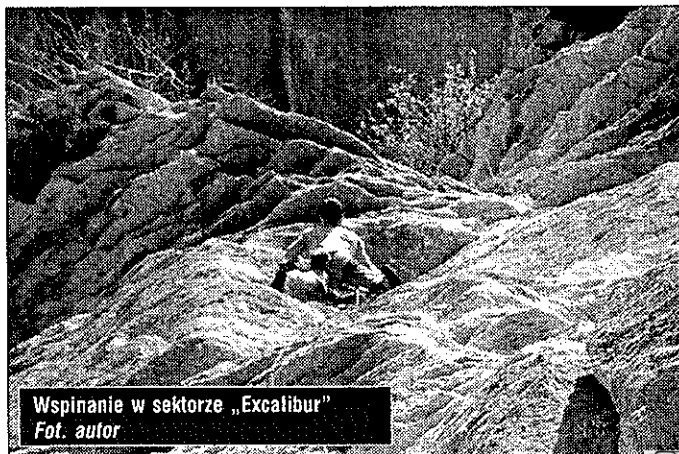
Grzegorz Pielak na stanowisku asekurowanym. Fot. autor

również Les Calanques oraz Chateaufort, jednak to właśnie w Buoux poprowadziliśmy najciekawsze drogi. Szczególnie Paweł, wówczas chyba jedyny "młody talent" opolskiego wspinania, pokazał klasę przechodząc flash drogę 7a (ok. VI.3) co w kontekście jego najlepszego prowadzenia VI.3+ RP w naszych skałkach było spektakularnym osiągnięciem.

Dla mnie ta trzecia wizyta w Buoux była kolejnym dowodem, że wspinanie tutaj to prawdziwa rozkosz i satysfakcja.



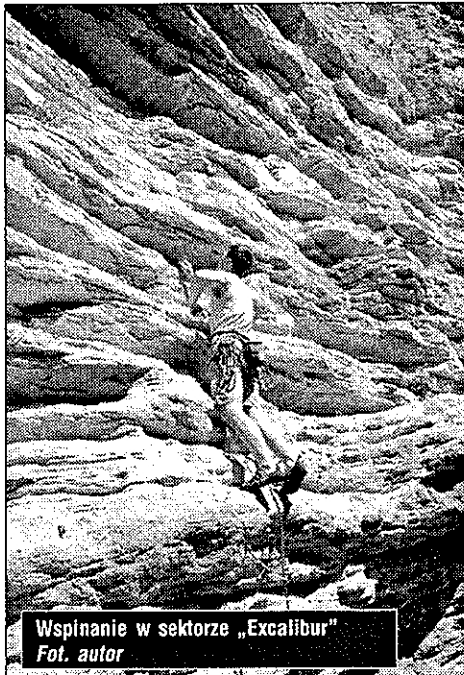
Rok 2000 był rokiem przełomowym. Nie tylko ze względu na początek nowej ery, ale przede wszystkim z powodu przyjęcia całkiem milej formuły wiosennego wspinania w ciepłych, południowych skałkach. Aby uniknąć kontaktu z lodowatą skałą naszych rodzimych rejonów, wraz z członkami Prywatnej Kuźni Mocy zlokalizowanej przy ulicy Wilsona w Opolu przy im-



Wspinanie w sektorze „Excalibur”  
Fot. autor



prezowo-logistycznym wsparciu "gluszyckich lewarów", odbyliśmy podróż do Arco (o czym moż-  
na poczytać sobie w poprzednim numerze "Jeti").  
Wracając z tej pełnej niezapomnianych wrażeń  
wizyty w kolebce włoskiego free climbingu, wspólnie  
roztaczaliśmy plany kolejnej inwazji w roku  
2001. Początkowo mocno koncentrowaliśmy się



Wspinanie w sektorze „Excalibur”  
Fot. autor

na Sardynii, za którą szczególnie optował świeżo  
zarażony naszymi planami, Grzegorz P. Koniec  
końcem "sprawa Sardynii" upadła i celem na wiosnę  
2001 stał się... Buoux.

Przygotowania do kwietniowego wyjazdu, początkowo skierowane tylko na przyrost buły, zaczęły z czasem przebiegać w dramatycznych okolicznościach. Otóż, gwałtownemu przerzedzeniu uległ skład ekipy kiedy z udziału zrezygnował Tomasz P., a kilka tygodni później Januszowi P., trzonowi "gluszyckich lewarów" wyskoczyła z barku ręka (efekt nadmiernego dawania ze szmaty - ku przestrodze zauroczonych tym jakże pięknym ćwiczeniem). Po tak drastycznych zmianach w składzie ekipy pozostali wspomniany Grzegorz P., Krzysztof M. (czarny koń Prywatnej Kuźni Mocy), Łukasz P. (ostatni z "gluszyckich lewarów", właściciel Opla Calibry, którym mieliśmy wyruszyć do Francji) oraz niżej podpisany, zupełnie zaślepiony

perspektywą bliskiego spotkania siódmego stopnia (od 7a OS, bo takie były plany).

Wreszcie nastąpił oczekiwany niecierpliwie dzień. Najbardziej z chwili przed wyjazdem (poza oczywiście niezwykle smutną miną mojej Małżonki) pamiętam przerażenie widokiem monstralnej skrzynki wyładowanej flaczkami, sosami i konserwami, która była własnością Grzegorza P. Ponieważ, każdy z nas posiadał trzy do pięciu toreb lub plecaczków, załadowanie naszego dobytku do sportowych wymiarów Opla Calibry, stało się arcyciekawym połączeniem puzzle z trickami siłowo-technicznymi.

Podróż do Buoux upłynęła niezwykle szybko, a to za sprawą Łukasza, który praktycznie całą drogę (ok. 1600 km) prowadził sam podtrzymywany na duchu (i przed zaśnięciem) przez pozostałych.

Jak podczas poprzednich wizyt zatrzymaliśmy się na campingu "Les Cedres" w Apt. Dużym szokiem dla nas, przybyszów z zimnej północy, była słoneczna pogoda, która zachęcała raczej do plażowania, a nie wspinania. Późna pora naszego tryumfalnego wjazdu na camping, uniemożliwiła wizytę w skałach Buoux jeszcze tego samego dnia. W zamian za to mogliśmy wypróbować wyroby francuskich winnic i uczcić w ten sposób szczęśliwie zakończoną podróż.

Kolejne dni były dosyć podobne do siebie. Około południa ruszaliśmy na szychtę w skały, a wieczorem omawialiśmy szczegóły minionego dnia i prowadziliśmy dyskusje na tematy ogólne, a wszystko w miłej atmosferze podsyconej niewielką ilością, niezwykle wykwintnych trunków, w cenie polskiej wody mineralnej. Gwoli ścisłości, należy dodać, że szaleństwo wieczornych imprez w Arco, było tylko wspomnieniem. Na campingu "Les Cedres" zachowywaliśmy się bardzo dystyngowanie - człowiek z wiekiem poważnieje.

Samo wspinanie w Buoux okazało się (jak zwykle zresztą) godne naszego mistrzostwa. Umiejętności w naszej ekipie były dość zróżnicowane, niemniej każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Naszą działalność rozpoczęliśmy od w miarę łatwych sektorów ("Emoro", "Ok. Carole", "D.S.F.") gdzie przeważają drogi o trudnościach 5-6c. Większość z pasaża w tych sektorach poprowadzonych jest rysami co może powodować pewne zdziwienie u ambitnego wspinacza, nastawionego na drogi płytowe. W miarę upływu czasu przesuwaliśmy się wzdłuż skalnego muru Buoux na wschód (mur ma wystawę generalnie południową) w stronę najciekawszych sektorów. Wspinając się wybieraliśmy głównie drogi jednowyciągowe, chociaż możliwe są również przejścia dróg dłuższych (od 4 do 7

wyciągów) prowadzących na krawędź wąwozu (jedną z nich o trudnościach 6a, zaliczyli Krzysiek i Łukasz). Najciekawsze drogi są zlokalizowane w sektorach "Fakir" i "Excalibur" oraz w okolicach filara "Fourmis" i na ścianie "Styxu". W pierwszych dwóch sektorach znajduje się kilkadziesiąt dróg poprowadzonych w żółtawej przewieszanej skale, tuż obok potężnego okapu, którym wiedzie potencjalna linia "Chantier" oceniana na 9b!, związana z głośną kilka lat temu mistyfikacją Słowaka Juraja Recki.

Właśnie wspinaczki w wymienionych sektorach wspominam z dużą satysfakcją. Szczególnie duże wrażenie wywierają przewieszane, szare płyty po wschodniej stronie filara "Fourmis". Wspinanie po dwu i jednopalcowych głębokich dziurach stanowi interesujący test siły i wytrzymałości. Dodatkową oprawą tych wspinaczek jest sąsiedztwo najstawniejszych dróg Buoux jak "Azincourt" 8c czy "La mission" 8b, pokonujących monstrualnie wywieszoną połać płyt w najwyższej części muru. Chcąc bliżej przyjrzeć się "chwytom" na "Azincourt" przeszedłem drogę "Les Barouilles", która doprowadza do stanowiska pod tą "ósemką ce". Po dłuższych oględzinach, nie udało mi się jednak wypatrzeć nic poza kilkoma plamkami magnezyj (dziurki?!). Cóż, chyba taki jest wymiar "osiem ce" ...

Do ciekawszych wspinaczkowo miejsc należy również ok. 30-metrowa ściana Styx. Poprowadzone nią drogi o trudnościach 6b-7c pozwalają w pełni wykazać się umiejętnościami wspinania w płytach przewieszonych, pionowych i pologich. Oprócz dobrej techniki i wytrzymałości, zdecydowanie przydaje się tutaj pewien za-

pas dobrej psychy, czy też może odporności na długie loty. Asekuracja z ringów rozmieszczonych często w odległościach 4-5 m dostarcza rzeczywiście niezapomnianych wrażeń, o czym mogłem przekonać się wykonując ok. 7 metrowy lot podczas prowadzenia jednej z dróg.

Zafascynowani wspinaniem w Buoux, odwiedziliśmy również Chateaufvert (wspinaczkowo) oraz Verdon (turystycznie). Pierwszy z wymienionych rejonów szczególnie przypadł do gustu Grzegorzowi P., a to ze względu na doskonałą asekurację oraz znacznie większe możliwości prowadzenia dróg z przedziału 5-6a. Sądzę jednak, że ten atrakcyjny rejon wymaga szerszego opisu w osobnym artykule. Co do kanionu Verdon nie trzeba go chyba specjalnie przedstawiać. Około 30 km długie, wycięte przez rzekę Verdon w wapiennym płaskowyżu, stanowi jedno z najpiękniejszych miejsc w Europie. Wspinanie w Verdon ma wyjątkową jakość. Praktycznie można uprawiać tutaj każdy rodzaj wspinaczki skalnej, począwszy od długich, 300-metrowych dróg klasycznych i hakowych, poprzez sportowe pasaże o najwyższym stopniu trudności, na boulderingu skończywszy.

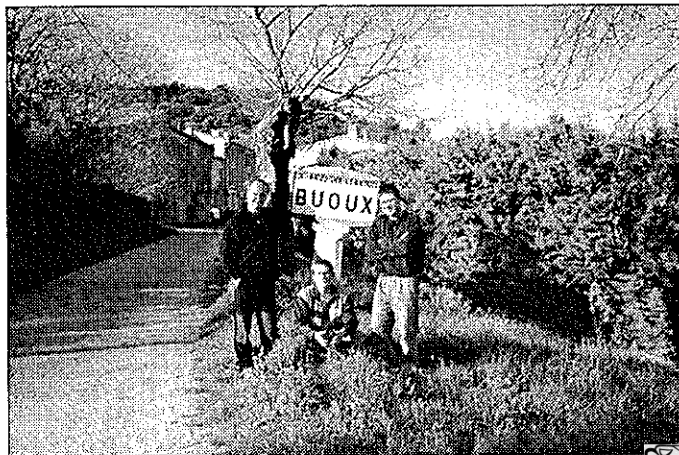
Oprócz działalności wspinaczkowej w Buoux i Chateaufvert, zwiedziliśmy również położone kilka kilometrów od Aptu skały Roussillon, zbudowane z fantastycznego piaskowca (podobno w barwie 17 odcieni ochry). Krajobraz tego miejsca przypomina miniaturę kanionu rzeki Colorado. Warto odwiedzić Roussillon w dniu "restu", a dołożenie do repertuaru zwiedzania, teatru antycznego w pobliskim Orange i Pałacu Papieży w Avinionie będzie miłym uzupełnieniem prowansalskich wojaży.

\*\*\*

Czy Buoux to rzeczywiście wspinaczkowa perła Prowansji, czy po prostu "syf"? Mam nadzieję, że w pewnym stopniu przekonałem czytelników do prawdy zawartej w tytule tego tekstu. Od siebie mogę jedynie dodać, że pomimo czterech wizyt w tym rejonie, mam nadzieję, że będzie ich znacznie więcej i kto wie, może za rok...

Na razie planowaliśmy z Grzegorzem wyjazd do Chateaufvert, ale przecież stamtąd, samochodem do Buoux to tylko godzina, no może półtorej...

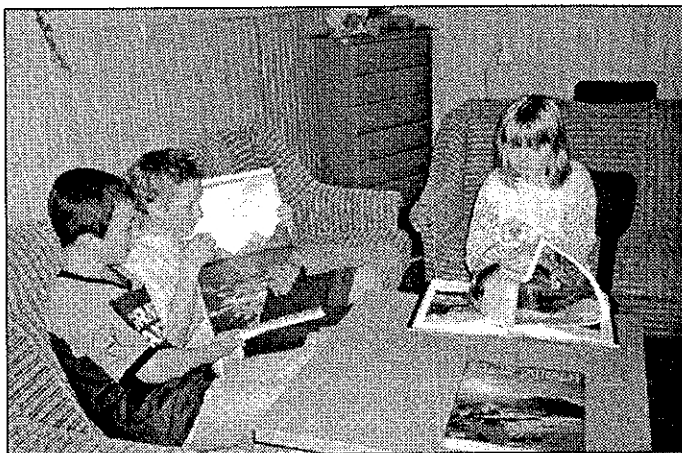
Marcin Sokołowski



# O górach, skałkach i nie tylko...

Mali mieszkańcy Domu Dziecka w Opolu uczestniczyli w projekcie edukacyjnym zatytułowanym „Z głową w chmurach”. Pomysłodawcą, autorem projektu oraz sprawcą całego „zamieszania” była autorka poniższego tekstu, wychowawczyni Domu Dziecka w Opolu – Małgorzata Pielak. [redakcja]

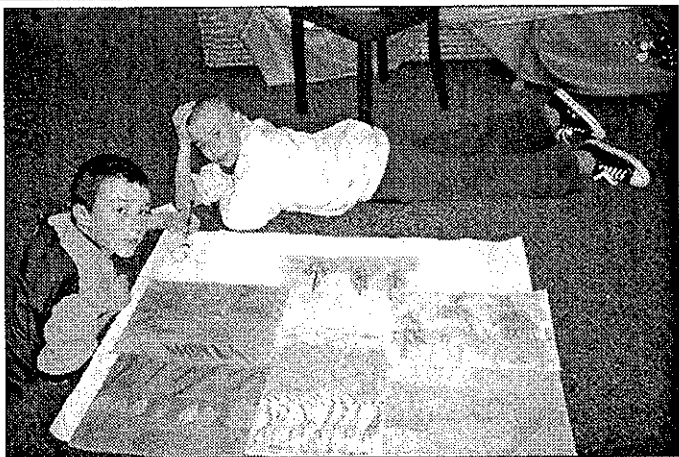
Na początku grudnia 2000 r. wszystkie największe media w kraju ( np. TVN, RTL, TVP) relacjonowały podsumowanie projektu edukacyjnego realizowanego przez Publiczne Gimnazjum w Szymiszowie i Międzyskolny Ośrodek Sportowy w Strzelcach Opolskich, zatytułowany „Każdemu jego Everest”. Podsumowaniem tego trwającego trzy miesiące projektu był maraton wspinaczkowy, którego celem była wspinaczka non-stop przez trzy dni i dwie noce po sztucznej ścianie wspinaczkowej, tak aby suma pokonanych w pionie metrów równa była wysokości najwyższej góry świata – Mount Everestu. Wspinaczkę rozpoczęto od poziomu morza, czyli do pokonania było 8848



metrów. Stało się jednak inaczej, w ciągu 52 godzin zdobyto nie tylko Mount Everest, lecz także drugi szczyt ziemi K-2, Górę Świętej Anny oraz kawałek kolejnej góry. Po ścianie stowarzyszenia Jeti wspinali się uczniowie szkół z terenu gminy Strzelce Opolskie.

Zaintrygowana pomysłem z Szymiszowa zaczęłam się zastanawiać czy nie wykorzystać idei w mojej pracy z dziećmi z domu dziecka. Jak się później okazało, pomysł nie tylko mi się spodobał. Również harce-

rze ze Szczecina podchwycili szymiszowski pomysł i zdobywali Everest wędrując po... ruchomych schodach. Raz zasyany niepokój musiał dać efekty. Zastanawiałam się, że skoro można było zrobić tak ciekawy pomysł w gminie Strzelce Opolskie, to czy podobnego projektu nie dałoby się zrealizować w Opolu dla moich wychowanków z domu dziecka. Tym bardziej, że właśnie w Opolu jest doskonała baza do tego rodzaju działań – w postaci sztucznej ściany wspinaczkowej w Publicznej Szkole Podstawowej nr 11 oraz wśród moich przyjaciół są ludzie, którzy bywali w różnych górach – od Himalajów po Góry Opawskie. Co więcej, niektórzy z nich uczestniczyli w realizacji projektu „Każdemu jego Everest”.



Już w grudniu 2000 r. rozpocząłam przygotowania. Faza pierwsza przy realizacji jakiegokolwiek projektu to określenie problemu jaki chcemy rozwiązać. Na tym etapie przygotowań najtrudniej jest się uwolnić od myślenia zadaniowego, na rzecz myślenia problemowego. Czyli, nie co chcę zrobić, ale jaki problem chcę rozwiązać, a dopiero później dobrać zadania niezbędne w celu rozwiązania problemu.

Przeprowadzona diagnoza wykazała, że dużym problemem wychowanków domu dziecka jest brak wiary we własne siły. Już wydawałoby się niewielkie trudności powodują, że moi wychowankowie wycofują się, rezygnują z działania i stają się bierni. Postanowiłam wykorzystać góry, jako pretekst, jeśli nie do całkowitej zmiany takiego postępowania, to przynajmniej do wzbudzenia refleksji u moich dzieci, że warto mieć marzenia, że warto walczyć o ich realizację. Obserwując wśród moich najbliższych przyjaciół – ludzi gór w jaki sposób realizują najbardziej szalone marzenia, jak przyjaźnie zawarte w górach przenoszą na życie codzienne, jak góry dają im siłę funkcjonować na nizinach (zresztą bardzo często jako ludzie sukcesu)

postanowiłam niewielką częścią tego przekazać moim dzieciom.

Opracowując projekt, działania podzieliłam na cztery etapy: zajęcia świetlicowe (moduł A), spotkanie z alpinistą (moduł B), zajęcia na sztucznej ścianie wspinaczkowej (moduł C) oraz „wyprowadzenie” na Kopę Biskupią (moduł D). Początkowo planowałam jeszcze biwak połączony z zabawami wspinaczkowymi w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej,

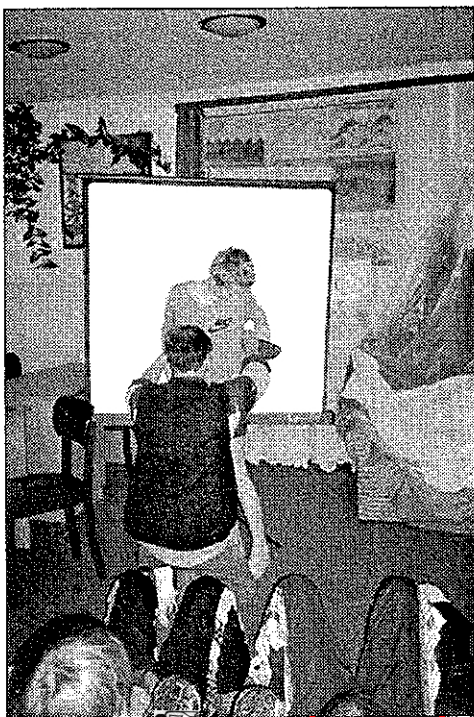


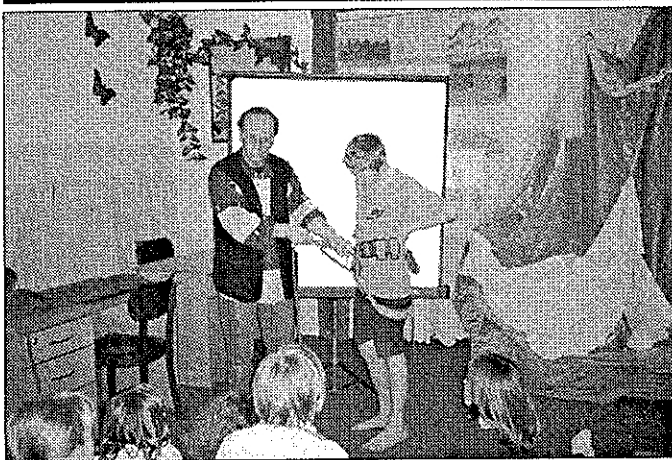


szych marzeń". Wykorzystując techniki plastyczne oraz metody aktywizujące starałam się, aby moi wychowankowie dokonali wizualizacji swoich marzeń. Tłem do tych działań była oczywiście góra, każdy z nas alpinistą, a nasze marzenia to kolejne fragmenty trudnej drogi na szczyt górski. Ponieważ przyjąłam zasadę dobrowolności, to nie wszyscy wychowankowie biorą udział w zajęciach. Szczególnie mam problem z chłopcami, ich takie dyrdymały nie interesują. Niektórych z nich uda mi się zaktywizować dopiero na kolejnych zajęciach. Kolejne zajęcia to „Góry widziane okiem dziecka”. Dotychczasową wiedzę o górach staramy się przedstawić plastycznie. Z prac tych powstała mała wystawa prezentowana w holu naszego domu. Kolejny tydzień i kolejne spotkanie z moją grupą. Tym razem o... wybitnych ludziach gór. Targam w plecaku albumy, wspomnienia, górskie kompendia wiedzy. W trakcie zajęć wykorzystamy także internet – odnajdziemy kilka witrin górskich. Po raz pierwszy pełny sukces – w zajęciach uczestniczą także chłopcy. Do nich przemawiają konkrety – czy trudno zdobyć Everest, dlaczego Messner wyprzedził Kukuczkę i pierwszy zdobył wszystkie czternaście ośmiotysięczników czy Wanda Rutkiewicz naprawdę zginęła. Wszyscy razem wertujemy książki oraz surfujemy po internecie w poszukiwaniu informacji – ta wiedza wyraźnie da o sobie znać kiedy spotkamy się z alpinistą. Mija kilka dni, a dzieci pytają o następne zajęcia. Czyżby pomysł chwycił? Na kolejne zajęcia przynoszę wykonane przeze mnie slajdy tatrzańskie i albumy fotograficzne. W trakcie spotkania, dzieciaki próbują odnaleźć w albumach prezentowane na slajdach charakterystyczne miejsca w Tatrach. Rozpoznajemy i nazywamy między innymi: Zamarłą Turnię, Przełęcz pod Chłopkiem (swoją drogą ciekawe czy wychowankowie zapamiętają skalnego chłopka nad przełęczą). Do-

lecz życie zmusiło mnie do przesunięcia tego pomysłu na okres powakacyjny.

Realizację projektu zaplanowałam od marca do czerwca 2001 r., tak aby swoje działania dostosować do pory roku i związanej z nią aury. Realizację modułu A zaplanowałam na marzec. W tym miesiącu zrealizowałam cztery razy zajęcia świetlicowe, których łącznikiem były właśnie góry. Temat pierwszego spotkania brzmiał „Budujemy górę naszymi marzeniami”.





liny Pięciu Stawów Polskich i Rybiego Potoku oraz największą skalną ścianą polskiej części Tatr – Kazalnicę Mięgoszowiecką. Zajęcia o tyle łatwiej prowadzić, gdyż część wychowanków była już w Tatrach. Tak minął marzec, przed nami spotkanie z alpinistą.

Nawet chłopcy, którzy do tej pory podchodzili z dystansem do moich propozycji, zaczynają się niecierpliwie. Coraz częściej słyszę – „Pani Małgosiu, nooo kiedy wrzescie...”.

Chodzi im oczywiście o spotkanie z alpinistą. Lecz zanim do tego dojdzie, oni też mają do wykonania kilka zadań. Alpinistę trzeba zaprosić a moje „ancymony” mają to zrobić osobiście (w trakcie przygotowań powstanie problem jak to zrobić – pisemnie, telefonicznie a może jeszcze inaczej?), trzeba pożyczyć rzutnik i ekran oraz przygotować salę. Mogłam to wszystko zrobić za nich, ale przecież nie o to chodzi podobno reformie edukacji, moje dzieci zdobywają i doskonałą umiejętności – może nie wszystko jest idealne, ale za to przygotowane samodzielnie przez dzieci. W sali konstrukcja z drabin i prześcieradeł imitująca Himalaje a na ścianach prace plastyczne o górach wykonane na wcześniejszych zajęciach. Rzutnik do slajdów i ekran ustawione.

Spotkanie rozpoczyna się od pokazu slajdów ze skałek Jury Krakowsko – Częstochowskiej. Następnie oglądamy sprzęt wykorzystywany do wspinaczki skalnej. Krzysz jako model przymierza uprząż wspinaczkową, kiedy za chwilę zawiśnie w niej na drabinie zobaczą strach w jego oczach, który będzie starał się zamaskować śmiechem. Dziewczynki ze strachem wkładają ręce do woreczka z magnesem. Padają liczne pytania. Kolejne slajdy, tym razem z Alp. Razem z naszym gościem zdobywamy Mont Blanc. Kolejna przerwa i pokaz sprzętu do wspinaczki zimowej. Gość wyjaśnia, że raki to nie zawsze skorupiaki, że są to takie kolce do butów dzięki

którym można się wspiąć. Padają kolejne pytania co to jest czekan i jak tam wysoko się nocuje itd. Ruszamy dalej slajdy przenoszą nas w Himalaje. Wędrujemy dookoła Annapurny, zwiedzamy buddyjskie świątynie oraz stolicę Nepalu – Kathmandu. Następnie wracamy do Europy. Okazuje się, że tu też można przeżyć egzotyczną przygodę. Razem z naszym gościem nocujemy na szczycie czynnego wulkanu w Archipelagu Wysp



Liparyjskich – Stromboli. Slajdy wykonane w trakcie wybuchu wulkanu, powodują tylko głębokie westchnięcie. Spotkanie dobiega do końca, ponad trzy godziny minęły niezauważalnie, aż mi się nie chce wierzyć, że moje dzieci tyle czasu wytrzymały w skupieniu. Ostatnie pytania do gościa i mały test – Czy potrafi Pan rozpoznać szczyty przez nas namalowane?” i gość rozpoznaje bezbłędnie: Giewont, Mieguszowiecki, Mnicha i kilka innych charakterystycznych tatrzańskich widoków.

Na maj zaplanowałam kolejny etap naszego projektu. Czas teorię wykorzystać w praktyce, czyli zmierzyć się ze sztuczną ścianą wspinaczkową. Do tego potrzebna jest już pomoc instruktora wspinaczki sportowej Arkadiusza Tabisza oraz przychylność gospodarzy ściany – dyrekcji Publicznej Szkoły nr 11 w Opolu. W majową sobotę wspinamy się na sztucznej ścianie. Mimo różnic wiekowych – najmłodsza uczestniczka projektu ma osiem lat a najstarszy uczestnik 18 – idzie nam nadspodziewanie dobrze. Zdobywamy kolejne drogi wspinaczkowe, od pionowych płyt po naj-

większe przewieszania. Instruktor A. Tabisz zaznajamia nas ze sprzętem, który wcześniej poznaliśmy na spotkaniu z alpinistą. Wiemy do czego służy uprząż, ósemka, lina wspinaczkowa. Do-

wiadujemy się, czym różni się tzw. wędka od wspinaczki z dolną asekuracją. Dzieciaki są zachwycone, ze wszystkich stron padają pytania – kiedy znowu będziemy się wspinać? W kolejne soboty, dzięki przychylności A. Tabisza chłopcy uczestniczą w zajęciach sekcji wspinaczkowej.

Na czerwiec zaplanowałam podsumowanie projektu. Czas zdobyć najwyższą górę naszego województwa – Kopę Biskupią. Wyruszamy bładym świtem w niedzielę 3 czerwca 2001 r. pogoda bardzo niepewna, moi wychowankowie do końca się niepokoją – czy wyjazd dojdzie do skutku? Udaje się, o godzinie 13.15 stajemy na szczycie Kopy Biskupiej na wysokości 889 metrów nad poziomem morza, zdobywcy zmęczeni ale uśmiechnięci, są z siebie dumni, kiedy przewodnik wręcza im dyplom za zdobycie najwyższego szczytu Gór Opawskich. Jeszcze tylko ognisko z kielbaskami u podnóża góry i wracamy do Opolu.

W mikrobusie młodsze dzieci zmęczone zasypiają, starsze podkscytowane rozmawiają o wycieczce. Uświadamiam sobie, że coś się skończyło. Pora na podsumowanie projektu edukacyjnego, na końcową ewaluację. Czas na przemyślenie tego, co się udało, a co trzeba poprawić – mam już chyba pomysł na kolejny projekt... moje rozmyślenia przerywa jeden z wychowanków (ten co na początku projektu nie chciał brać udziału w zajęciach) – Pani Małgosiu, czy pojedziemy się wspinać w prawdziwe skałki???

Sławek Brzozowski

# Rodzinne ferraty

Kolejny wyjazd w Dolomity pozwolił mi poznać je – mimo tych samych miejsc – od trochę innej strony. Wynikło to z zupełnie innego pomysłu na ten wyjazd.

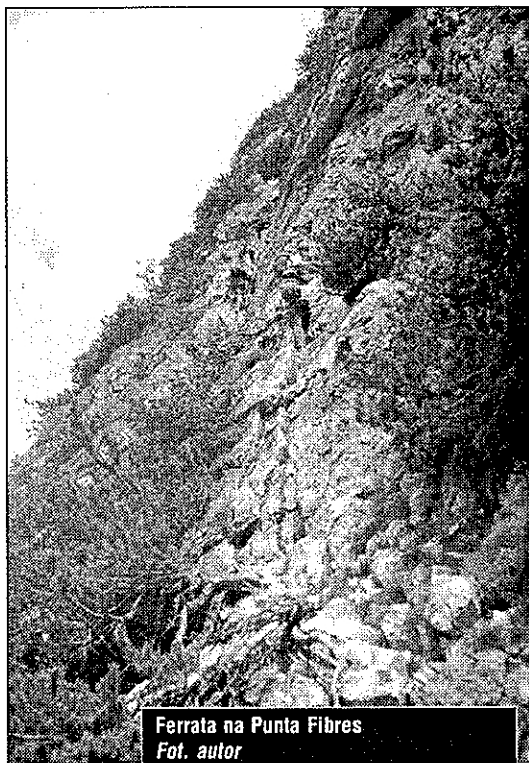
Wymyśliliśmy sobie, że kilka ferrat pójdziemy całą rodziną Ewa, Mikołaj (12 lat), Kuba (10) lat i ja. Dzieci cały rok trenowały na ścianę z Jetty a Ewa i ja mieliśmy dosyć spore doświadczenie górskie. Ferraty zostały wytypowane tylko te, które były mi znane osobiście tzn. na których byłem podczas poprzednich wyjazdów.

Uprząże, karabinki, pętla, kaski pożyczaliśmy częściowo od znajomych. I w drogę.

Tradycyjną trasą przez Brno, Wiedeń do Cortiny. Początek lipca niósł w sobie pewną niewiadomą, gdyż mógł przynieść jeszcze śnieg wysoko w górach. Cortina jak zwykle była b. sympatyczna i wcale niezmienniona. Trasy wybrałem jeszcze w Polsce tak, że na miejscu zostało tylko ich przejście.

## 1 dzień

Oczywiście na lekki rozruch wybraliśmy się na spacer do ferraty Giovanni Barbara (łatwa, popołudniowa wycieczka). Ponieważ z nami była jeszcze 4 osobowa rodzina nastawiona na turystyczne chodzenie więc była to też trasa w ich zasięgu. Spacer wokół Col Rosy – która była naszym celem na następny dzień – to czysta przyjemność uwieczniona pięknym widokiem ze słynnego punktu na moście Ponte Alto (1460 m). Niedaleko mostu czekała na nas króciutka ferrata do której dojście odbywało się przy wodospadach, a właściwie na-



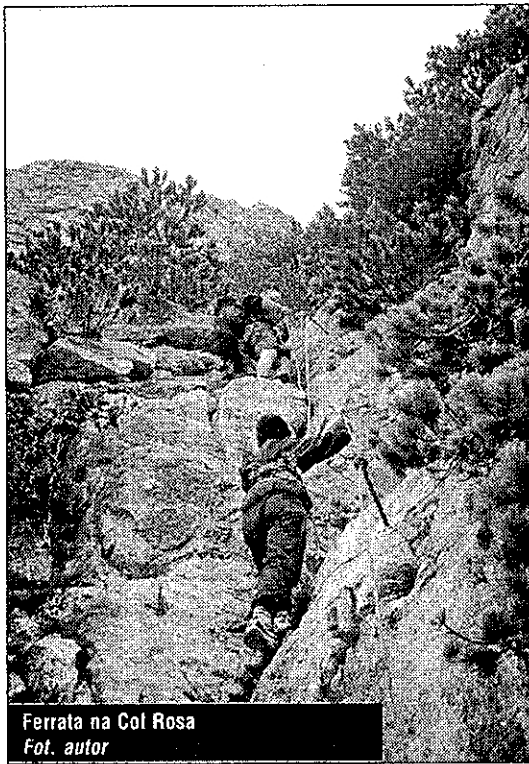
Ferrata na Punta Fibres  
Fot. autor

wet pod lub za jednym z nich. Sama wspinaczka po skalnych ściankach i półkach dostarczyła trochę emocji.

## 2 dzień

Właściwie już mogę napisać, że tradycyjnie udaliśmy się na Col Rosę (2166 m) na ferratę Ettore Bovcro (trudna półdniowa trasa, 800 m różnicy poziomów). Jest to naprawdę piękna





Ferrata na Col Rosa  
Fot. autor

trasa, na której można ocenić własne możliwości. Wiedziałem, że jak bez kłopotów ją pokonamy, to następne dni będą przyjemnością.

Najbardziej niepokony to byłam ja. Nie wiedziałem, jak się dzieci będą zachowywać na pionowym filarze, mając pod nogami kilkaset metrów „luftu”. Nie wiedziałem, jak ja się będę zachowywał.

Najważniejsza dla mnie była możliwość rzeczywistej asekuracji dzieci. Lina stalowa ferraty daje sensowną asekurację bezpośrednio przy skoblach mocujących do ściany lub wtedy, gdy trawersują ścianę w poziomie. Nie mogłem więc polegać na takiej asekuracji. Dzieci asekurowałem dodatkową 15 m liną, do której się na początku wiazali 9 podwójna ósemka z sekcji 0 a później wpinali tylko karabinkami. Tempo wspinaczki nie było rewelacyjne, gdyż trzeba było czekać. Ale była asekuracja. Po-

czątek ferraty zaczyna się pionową, kilkumetrową ścianą, ale bez ekspozycji kilkusetmetrowej. Dzieci wspinają się wspaniale i oczywiście dużo lepiej niż Ewa i ja. Wspinalem się pierwszy, zakładałem stanowisko do asekuracji, rzucałem linę Kubie, który dochodził, a właściwie to dobiegał do mnie, wpinął się w okolicy następnego skobla w linę stalową i czekał, aż do liny wpiął się Mikołaj i doszedł do nas. Za nim wspiniała się Ewa i zamykała nasz zespół. I tak klika „wyciągów” aż do momentu kluczowego, tj. pionowej ściany w pobliżu krawędzi filaru zakończonej eksponowanym trawersem. Luft pod nami to około 800 m. Z każdym metrem było jednak - nam łatwiej. Dzieci oswoiły się ze ścianą i ekspozycją. Kuba po przejściu trawersu, szedł właściwie już bez liny, tylko Mikołaj – jako wygodny gość – był wpięty. Wspinaczka zrobiła się bezstresowa i przyjemna.

Wyjątkowo długo zabawiliśmy na szczycie, podjadając i obserwując czarne ptaki, które tylko czekały na okruchy rzucane im w powietrze, a łapanie w lo-

cie. Najwspanialsze jednak przedstawienie zaprezentowały nam orły. Właściwie to dorosły orzeł z małutkim, którego dopiero uczył latać, zrobili kilka kótek nad nami. Byliśmy tak zauroczeni tym widokiem, że nie zdążyliśmy wyciągnąć aparatów.

Długie, mozolne zejście było nawet przyjemne, bo wszyscy byli bardzo zadowoleni z naszych „wyczynów”.

## 3 dzień

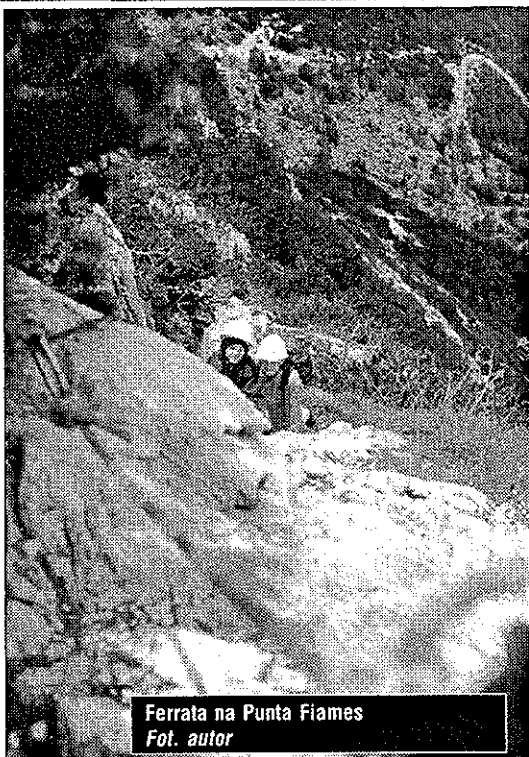
Już z całkowitym spokojem wyruszyliśmy na najtrudniejszą trasę tj. na Punta Fiamas (2240 m) na via ferrate Albera Strobel (trudna, eksponowana, 950 m). W porównaniu z Col Rosą jest to trasa ponad dwa razy dłuższa. Znajduje się dokładnie nad campingiem i po dru-

giej stronie doliny w stosunku do Col Rosy.

Ta trasa była już naprawdę extra. Urozmaicona, w skałe o różnej rzeźbie. Długa, dająca możliwość poczucia wspinaczki. Po dolnych pionowych odcinkach, gdzie dzieci były asekurowane z góry liną zaczęliśmy się wspinać tak jak na końcówce Col Rosy. Kuba z przodu wspinający się w skałe i asekurowujący z via ferraty oraz Mikołaj asekurowany dodatkowo liną i wpięty w nią na stałe. Pod nami początkowo był widoczny cały camping Olimpia (z klikuset metrów) a później po przejściu kolejnych ścian zbliżyliśmy się do Cortiny.

Było naprawdę bardzo miło. Byliśmy razem, właściwie sami, bo Ci, co wyruszyli z nami wspinali się dużo szybciej. Góry były puste. Wiał tylko wiatr, słońce świeciło, skała była sucha, wakacje, dzieci takie duże i „dzielne”. Poezja.

Tylko to zejście po piargach, kamieniach było takie nudne. Jeden wniosek należy schodzić do Cortiny, a nie do Fiammes.



Ferrata na Punta Fiammes  
Fot. autor

## 4 dzień

W planie mieliśmy ferratę na Monte Paterno (2744m). Po podejściu do schroniska Locatelli mijając po drodze wspaniałe ściany Tre Cime di Lavadero okazało się, że pogoda nie jest taka dobra, jak bym chciał. Wierzchołek Monte Paterno co chwilę się chował w chmurach. Na dodatek przełęcz pod szczytem była w śniegu. Trochę zbyt dużo nieprzyjemnych okoliczności. Zmieniamy więc plany i razem z Kubą wspinamy się na Torre di Toblin (2617 m), krótką, średnio trudną ferratą Feldkurd – Hosp – Steig. Wspinaczka sprawiła nam dużą przyjemność, gdyż było stosunkowo łatwo i bezpiecznie, a bardzo pięknie widokowo i wyeksponowana.

## 5 dzień

Pozostał już jeden dzień górski. Postanowiliśmy wykorzystać pogodę do końca i na sam koniec wybraliśmy wejście na szczyt Sasso di Stra (2477 m). Droga na szczyt prowadziła ubezpieczoną ścieżką, a sam szczyt położony w pobliżu przełęczy Falzarego umożliwił bezpośredni widok na ośnieżone szczyty Marmolady.

Jeszcze tylko przejazd do Misuriny na spacer dookoła jeziora i to już koniec.

**Do następnego roku.**

# THE TRUTH IS OUTTHERE

Mimo, że moja Babcia zwykła do mnie i o mnie mawiać: „Ty, jak nie skłamiesz, to prawdy nie powiesz” - to tym razem nie potrafiłem znaleźć wymówki. Najgorszy koszmar mojej Mamy – zimowe wspinanie jej dziecka w Tatrach – urzeczywistniał się.

Obrany cel był na tyle ambitny „coby” się opłacało wystawiać własny tyłek na działanie żywiołów. Jednak od początku wszystko (dosłownie) próbowało pokrzyżować nam plan – najpierw pościąg, potem ich spóźnienia, a w końcu pogoda.

Dziarski crows w 2-metrowym śniegu połączony z czolganiami dopełniał stopniowo miarki zmęczenia i frustracji. Stopień napalenia (mój pierwszy raz kontra chęć wypróbowania nowych sieka-  
del) doprowadził do absolutnego oszaleństwa jakim było kontynuowanie naszego „świetlistego marszu”. Po 3 godzinach podupiania stanęliśmy u JEJ – ściany – stóp.

Po drodze, zmieniając crowsa na krytą żabkę, dochodziłem do wniosku, że wyrpna nasza będzie miała wyłącznie charakter rekonesansu. Bo kto widział, żeby zaczynać wspinaczkę o 11.45. Lecz kiedy zadowolony, że zachowam młode życie dogoniłem wreszcie partnera (czy jest bardziej dwuznaczne określenie a zarazem jednoznaczne skojarzenie) przekonany, że teraz, dzisiaj VENI VIDI a kiedyś w przyszłości (bliżej nieokreślonej) VICI, padła komenda:

– No to się szpeimy. No i się zaczęło. Zrazu niewybitnym filarkiem, następnie przewinięciem przez prozek jeden drugi: dynamiczne ruchy do kępek trawy; futurystyczne zwisy na jednej dziabce; raki ślizgające się po pionowych płytach; śmiałe wyjścia nad przeloty; iluzoryczna asekuracja i tak przez kilka godzin.

W wyścigu z czasem pokonywaliśmy całe wyciągi bez

żadnych przelotów (na 9 z 11) Same stanowiska, mające dać poczucie bezpieczeństwa, wykonane ze skracanej, ruszającej się śruby, byłyby ciekawym materiałem metodycznym (dla ewentualnych samobójców). Po którymś wyciągu niepotrzebne stało się sformułowanie: „Tylko nie obciążaj stanowiska”.

Całości sielankowego obrazu dopełniała pogoda – a raczej jej brak – śnieg padający z każdej strony tylko nie z góry, mróz powodujący łamanie się gore-tex'u oraz wiatr wyrwijący co słabsze drzewka.

Kiedy zmordowani o godz. 17 coś dotarliśmy do piky, było już szaro. Ostatnią atrakcją tego dnia miał być zjazd z wykopanej spod śniegu kosówki. Jako lżejszy (a bagaż wrażeń i doświadczeń?) zjeżdżałem drugi, aby podczas zjazdu A. przytrzymać krzaczek na właściwym – swoim – miejscu. Po chwili przyszła kolej i na mnie.

Wreszcie koniec zjazdu. Krótkie przeszepejenie w pionowym śniegu i zejście takim samym terenem, jakim zjeżdżaliśmy, a to dlatego, że nie było możliwości zjazdu takiego założenia.

Podczas postojów na zimnych stanowiskach, poddając się narastającemu otumanieniu, oddawałem się refleksjom, co by to ze mnie zostało w przypadku ewentualnego lotu prowadzącego. Pojawiające się stany lękowe przynosiły paranoiczne pomysły na uniknięcie odplynięcia w czeluści. Udało mi się nawet opracować mały katalog ewentualnych sposobów:

- racjonalne – wpięcie liny przez karabinek do uprzeży – bo można łatwo i szybko wypiąć
- nierealne – 80-metrowy lot „z odbiciami” trwa



„Zimowa przygoda na Giewoncie”  
Fot. archiwum

kilka lub nawet naście sekund – może zdążyć się odwiązać

c) ostateczne – „nawalenie” dziabą w linę w celu jej przerwania.

**PS 1** Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że na 2. wyciągu „złożyła” mi się dziaba – ostrze dotykało styliska. Za pomocą drugiej udało mi się doprowadzić narzędzie do jako takiej używalności.

A. zaproponował, że możemy zjechać. Jednak widząc nasze ewentualne stanowiska zjazdowe (kępy traw i suche patyki) wolałem kontynuować.

Jak się później okazało, to czego się bałem, spotkało mnie na samej górze – patrz zjazd z kosówki.

**PS 2** Dziękuję Partnerze, że mnie ze sobą zabrałeś.

## Lodospady po raz pierwszy

Pewnej środy otrzymałem propozycję wspinania się na lodospadach w rejonie Łabskiego szczytu – nieopodal Szklarskiej Poręby. Nie wahałem się długo, byłem właśnie na etapie poznawania zimowej odmiany wspinania. Po obozie zimowym klubu, moje ambicje nie zostały zaspokojone. Tak więc wybierałem się z Krzysztofem S. pseudonim „Krasnal” na ostre lodowe wspinanie. Omijając szczegóły podchodów, co do czasu i miejsca wyjazdu, cel naszej wyprawy osiągnęliśmy ok. 20.00 w piątek. Był to dom kolegi Krzysia, tam właśnie mieliśmy się wypaść przed trudami nadchodzącego dnia. Dzień wspinania rozpoczął się ok. 6.00 najpierw trochę marszu na rozgrzewkę, do schronu pod Łabskim szczytem, tam krótka przerwa i drugie śniadanko. W trakcie marszu złowił nas KRAKU, z którym to właśnie mieliśmy się wspiąć. Potem już tylko szybki skok za czeską „zieloną” granicę. A tam już czas na nagrodę – w postaci małego ogródka lodospadowego. Miejsce to było dolinką, po zejściu w nią wszystko dookoła wyglądało na lodowe ściany.

Pogoda tego dnia to była istna lampa, (lodospady, cel naszej wyprawy, były solidnie nasłonecznione, a co później się okazało również bardzo krucho. Po oszpejeniu się, pierwszy ruszył Kraku, który kołił tutaj co niedziele. I w tym momencie dostałem w łeb kawałkiem lodu wielkości kostki brukowej.

W efekcie uderzenia kask rozsypał się z leksza, ale głowa była cała, choć solidnie bolała. Człowiek, którego asekurowałem, wbijając dziabki czy też raki uruchamiał solidne lawiny, które spadały w moją stronę. Fenomenem tego wspinania był pierwszy przelot na jakimś 12 metrze od startu.

Po zejściu z kaskiem myślałem, że to już finał mojego wspinania, Krzysy który to widział z boku, też się nieco przejął. Po przerwie postanowiliśmy, że rzucimy wędkę na nieco łatwiejszą drogę i tam będziemy wchodzić po kolei. Ja sam zdecydowałem, że chcę wchodzić ostatni. Przede mną wchodził Krzysiek, ale się wycofał, chyba poranne emocje się mu udzieliły. Przyszła wreszcie moja kolej, wcześniej tylko kilka razy wbiłem czekany i raczki w lód. Jedyna rada jaką dostałem brzmiała – „napierdziałac” w lód ile sił.

Po nałożeniu pożyczonego kasku zastartowałem w górę, dalej to już rąbanie w lód którego chyba nigdy nie zapomnę. Dziś mogę powiedzieć, że złołem 35 metrowy lodospad. Tak właściwie zakończyliśmy wspinanie w sobotę była chyba 18.00. Spać mieliśmy w planic w Łabskiej Budzie – w jej wiacie, ale za sprawą naszej znajomości z czeskimi wspinaczami spaliliśmy w środku – na korytarzu.

Całkiem sympatycznie mieliśmy w środku, było tam jakieś 14 stopni Celsjusza jak tam weszliśmy, w tym czasie na zewnątrz było – 8°C. Po zjedzeniu kolacji i wypiciu chyba z 5 herbat poszliśmy w kimono. Rano w naszym korytarzu temperatura wynosiła z 5 stopni poniżej 0, tak więc gorąca herbata była jak najbardziej wskazana. Tego dnia wspinaliśmy się z drugiej strony dolinki ze stanowiska na górze ściany, która była mieszkanką pionu i połoga. Potem tylko powrót do domu.

MAŁY!!!

Tak właśnie można nazwać grudniowy wyjazd czwórki zapaleńców w polskie TATRY, z zamiarem dłuhania, działania w trawie, lodzia, o szczytnej nazwie wspinaczki zimowej.

Założenie pierwsze – miał to być obóz szkoleniowy klubu. Dlatego właśnie termin wyjazdu znany był już pod koniec listopada. Na ścianie zaczęto snuć ambitne plany: mówić o drogach do zasiekania, o szczytach do zdobycia. Założenie drugie – wszelkie czynności wymienione wcześniej miały podsycać zapał młodzieży i tworzyć sprzyjający klimat. Młodzież ta – nie tyle wiekiem, co przede wszystkim stażem – rozpoczęła zbrojenie w ekwipunek (tzn. drobne zakupy i duże pożyczki czekanów, raków, kasku etc.) – niezbędny do zimowej wyprawy i wyglądu profi.

Po wyklarowaniu się mocnej, bo aż czterosemowej ekipy pod wezwaniem ..... (w wykropkowane miejsce wstaw odpowiednie wezwanie), zaczęła się od popołudniowej kawy w domu A. nasza zimowa przygoda. Opole opuszczaliśmy pięknym rydwanem B. załadowanym do granic możliwości, a może jeszcze bardziej.

W pierwotnych założeniach mieliśmy nocować w namiotach (ekonomia, extremum i profi...), ale namioty nie znalazły miejsca w kufrze AUDI (szkoda – trzeba było o extremum i profi zadbać w innej sferze...). Nie będę wspominał o naszej trudnej, mozolnej podróży w skrajnie niesprzyjających – zimowych?! warunkach... Na szczęście miły dla ucha B. – kierowcy rydwanu – nieustanny komentarz Darka na temat prowadzenia auta: zmień światło, przyspiesz, zwolnij, włącz halogeny, hamuj itd. – wszystkim dodawał otuchy i wspomógł osiągnięcie celu – ZAKOPANE. Była 1.00.

Po przeszepejeniu się ruszyliśmy do Kuźnic, jak na starych łojantów przystało, taksówką. Dalej pieszo przez Jaworzynkę do Murowańca. Marsz na początku był nawet przyjemny – nareszcie użycie trzech liter na „n” (dla ułatwienia: myślę tu o liczbie mnogiej), zamiast czterech na „d”. Nickłórzy mocno odczuli za-

# Tatrzańska zimowa szkoła

dyszkę dobrobytu, czyli fakt posiadania czterech kótek. Zadzyszka była skutecznie likwidowana Isostarami, R14+ oraz Redbulami. Do schronu dotarliśmy o ok. 3.45 (co bystrzejsi mogą wykonać szybkie działanie i obliczyć czas dojścia. Początek zadania: W Zakopanem jesteś o godz. X do schroniska masz X km. Z jaką prędkością poruszasz się, jeżeli ...), a potem szybko w kimono skutecznie przerwane przez łojantów, którzy już o 6.00 wybierali się na trasę (pora profi). Nam należał się nieco dłuższy sen.

Plan do wykonania pierwszego dnia zrodził się między kęsem kielbasy a łykiem herbaty – zaatakowanie zachodniego żebra Wierchu pod Fajki. Atak żebra Wierchu poprzedzony był atakiem na pokój i zdobyciem jego lepszej połowy (nie mylić z kobietą). Podobnie jak pokój i nasze dwa zespoły miały tę lepszą i... połowę: A. wspiął się z B., a A. (od autor) wspiął się z D. I tak ruszyliśmy w kierunku Czarnego Stawu.

W śniegu po kolana doszliśmy nad Staw, stamtąd na przełaj w kosówce, kierując się na początek drogi położonej hen – hen tzn. bardzo wysoko. Po pewnym czasie, gdy droga stawała się coraz bardziej stroma, zgodnie wyciągnęliśmy czekany, wykorzystując je do podpięcia i haczenia. Wreszcie się zatrzymaliśmy, po konsultacjach – A. i D. stwierdzili, że jesteśmy w połowie pierwszego wyciągu. Miejsce wybrane przez D. na start było małą półką, na której należało się osześcić i założyć stanowisko. Po kilku nieudanych próbach startu D. Zmienił koncepcję i wystartował z miejsca drugiego zespołu. Po wejściu dwóch prowadzących na wyższą półkę, przyszła kolej na nas. B. zdecydował, że nie pójdzie, bo się trochę

zmęczył. Ja postanowiłem zastartować, lecz mój optymizm wygasł wraz z głośnym BLOK!!! i trzymetrowym lotem w śnieg. Mówi się, że gdy walnąłem, to aż Granaty się zatrzęsły. Ach, ta bujna wyobraźnia.... Po chwili znowu wszyscy byliśmy w punkcie wyjścia, lecz tym razem kierunek – w dół i zjazd na plecach lub dostojniej – zejście rumowiskiem.

Po doczłapaniu do schronu powstał plan drugiego dnia: A. z D. zaatakują Żebro Świnicy, a A. (autor) z B. zaliczą wycieczkę. Wspaniała i niezrównana Nokia B. (nie, wcale nie pobieram profitów za reklamowanie wyrobów tej firmy) zadzwoniła o 5.30, budząc cały pokój. Spokojnie to tylko dwaj łożańcy z Opola chcą zasiekać drogę przed południowym słońkiem. Mniej profi umówiłem się z B., że wstaniemy o 8.00. Kiedy obudziliśmy się o 8.15, próbowaliśmy od razu ustalić cel naszej wyprawy w góry. Chwilkę później do pokoju wpadł Arek z wielkim rogałem (uśmiechem) na twarzy, krzycząc przy tym: „wy tu śpicie, a my jesteśmy już po drugiej ambrozji”. Wielką niespodziankę zrobiła im pogoda, wielka odwilż porczyżowała ich plany.

Przy śniadaniu dowiedzieliśmy się, że możemy mieć towarzyszy na spacerze w postaci Stasia i jego kompana. Byli to starsi panowie poznani z rana przez chłopaków przy piwku. Jednak ostatecznie nie doszliśmy z nimi do porozumienia i na Kasprowy Wierch wyruszyliśmy tylko we dwóch. Na szlak wyszliśmy coś koło 10.00, i w ciągu 40 minut doszliśmy do wyciągu. W tym miejscu wiatr stał się bardzo nieprzyjemny. Im wyżej, tym widoczność malała, siła wiatru rosla.

Po dwóch godzinach marszu, usłyszałem krzyk B.: „POCZEKAJ!!!” obróciłem się.

Śnieżna biel przed moimi oczami, tylko mgliste rysy postaci były słabo widoczne w oddali. Po krótkim odpoczynku wyciągnęliśmy po dziabce, co miało nam usprawnić nasze poruszanie. W międzyczasie B. zaliczył czterometrowy lot w pole przy niemalym udziale wiatru. Tuż przed samym szczytem mgła była

tak gęsta, że można ją było pokroić niczym tort. Błądząc we mgłę obeszliliśmy szczyt, trafiając na obserwatorium meteorologiczne. Po krótkiej rozmowie z goprowcami, ruszyliśmy w dół do stacji kolejki. Tam okazało się, że knajpka jest zamknięta, i wszyscy zjechali przed śnieżycą w dół. Od razu zaczęliśmy suszyć nasze mokre rzeczy, na gorących grzejnikach. Po kilku minutach zaczęli się schodzić ludzie idący z Kuźnic.

Po odpoczynku i suszeniu ruszyliśmy tą samą drogą do schronu, towarzyszyła nam ekipa poznana wcześniej. Jednak nasi towarzysze się bardzo spieszyli i po godzinie wyrwali ostro do przodu. My natomiast idąc tempem spacerowym podziwialiśmy przejaśniające się widoki. Schodząc na hale wypatryliśmy latające „śmigło”, które krążyło w okolicy Zawratu. Pomysleliśmy, że to ćwiczenia, lecz po kolejnych lotach w ten rejon sprawa zakrawała na poważną. W Murowańcu byliśmy o 16.30, od WOP-isty usłyszeliśmy że na Zawracie zesła lawina. Wchodząc do pokoju zastaliśmy A. i D. zbierających się do drogi, obudziła się ich nado-piekuńczość i wychodzili właśnie nas szukać.

Kolejny ranek przywitaliśmy już o 7.00, a półtorej godziny później w schronie nas już nie było.

Schodząc do Kuźnic wybraliśmy drogę przez BOCZANA nazwanego przeze mnie BOCIANEM.

Gdy już byliśmy w Zakopanem, okazało się, że za parking należy zapłacić 65 zł, i że automobil B. nie ma już kołpaków. Spacerując Krupówkami skorzystaliśmy z okazji i zakupiliśmy solidną dawkę literatury fachowej, czyli profi. Pora obiadowa pognęła nas do knajpki serwującej miejscowe jadło. Już tylko powrót do domu!!!

Pomimo tego że obóz trwał tylko 3 dni, mogę powiedzieć, że była to naprawdę extra przyгода. Było może kilka zgrzytów, ale wszyscy wracali z uśmiechami na twarzach.

FANDYOL ANONIM

Powszechny Zakład  
Ubezpieczeń S.A.  
Powszechny Zakład  
Ubezpieczeń na Życie S.A.



**Tadeusz Draga**

*Agent ubezpieczeniowy*

45-645 Opole, ul. Srebrna 2/4  
tel. (077) 456-25-97,  
tel. kom. 0602 118 894

Powszechny Zakład Ubezpieczeń S.A.  
II Inspektorat w Opolu  
ul. Kollątaja 10, 45-064 Opole

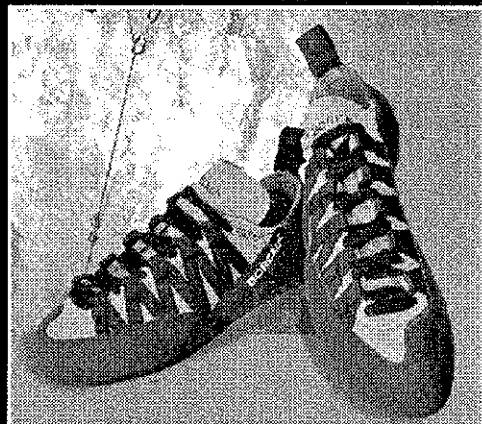
Powszechny Zakład Ubezpieczeń  
na Życie S.A.

45-066 Opole, ul. Reymonta 2

**Wszelkie  
ubezpieczenia  
wspinaczkowe NW:**

- **góry**
- **skałki**
- **wyjazdy na szkolenia**

**BOREAL**



**Camper**

46-070 Chmielowice  
ul. Niezapominajek 23  
tel. 77/474 75 12  
tel./fax 77/ 474 56 67

**WYŁĄCZNY  
PRZEDSTAWICIEL**

**FIRM:**

**BOREAL  
ROCA  
FADERS**

**SPONSOR ZAWODÓW**



[www.kwopole.pl](http://www.kwopole.pl)

# Producent sprzętu outdoorowego i wspinaczkowego

## oferuje:

- ➔ worki na liny z płachtą
- ➔ crash pady
- ➔ worki na karimaty
- ➔ worki na szpej
- ➔ torby na raki

wyrobów naszej firmy znajdziesz  
w dobrych sklepach turystycznych  
na terenie całej Polski

tel. 0607 327 912  
0606 591 590



[www.kwopole.pl](http://www.kwopole.pl)